Lwów, 2. Grudnia. Nr 144. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wierszu pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksięgarni *H. W. Kallenbacha.*

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

XVI.

Owoż tedy stało się tak rzeczywiście, że w jednym z pierwszych dni marca, roku 1847, zajechała do angielskiego hotelu we Lwowie jakaś wielka kareta podróżna, z tak wielkiemi walizami, waszami i innemi przyrządami do pakunków, że to uderzyło w oczy przechodzących i natychmiast zgromadziło około siebie liczne grono ciekawych. Razem z tą karetą przyjechały i inne powozy, które jeszcze daleko więcej dziwacznemi kształtami uderzały w oczy patrzących, wiozły one bowiem jakieś małe towarzystwo kuglarzów czy linoskoków z ich narzędziami i garderobą; ale te powozy nie miały z pierwszą karetą żadnego związku i tylko nierozgarnionym Cefizesom mogły się wydać jakiegoś bogatego podróżnego orszakiem.

Z tej karety wyszedł najpierwej pan jakiś, któren jakkolwiek z powierzchowności bardzo na cudzoziemca wyglądał, jednak czysto-polskim językiem zażądał kwatery dla siebie i przywoławszy odźwiernego, wypytywał go o niektóre osoby, bawiące w mieście i o ulice, przy których mieszkają. Tym podróżnym był w samej istocie znajomy nam Kamil Łaski, wracający po dziesięcio-letniem tułactwie do kraju, — dzisiaj mąż już dojrzały a może nawet przejrzały, z wyżółkłą cerą na twarzy, z pobielałemi usty, z czołem powiększonem łysiną, zgoła taki sam, jakim'eśmy go widzieli w Marszałkowej salonie.

Z nim razem wylazło z karety jeszcze i drugie jakieś stworzenie. Był to człowiek słusznego wzrostu, barczystej, ciężkiej i nieobrotnej postaci, któren był niby to kamerdynerem i niby-to Francuzem, ale nie wielkiej trzeba było znajomości Francuzów na to, ażeby poznać, że i jedno i drugie tylko udawał. Najbardziej zaś w nim to uderzało, że przy niewątpliwie mazowieckiej ciężkości swojej figury, nie znał dokładnie francuskiego języka, i chcąc to pokryć naśladował prowincyonalną wymowę z okolic Tuluzy, z czego się tworzyło coś tak dziwnie niedorzecznego, iż nie można się było dziwić temu, że go Cefizes nie mógł żadną miarą zrozumieć.

Rozmówiwszy się Kamil z odźwiernym, wszedł do pokojów przeznaczonych dla siebie, które były położone na pierwszem piętrze i patrzały prost na jedno z najwięcej ożywionych miejsc miasta, na plac Ducha świętego. Kamil wyjrzał przez okno i spoczął najpierwej wzrokiem na nieznajomej sobie jeszcze wieży ratusznej, będącej zapewne jedynym tego rodzaju egzemplarzem na całym świecie, potem wlepił ciekawe swe oczy w kościół jezuicki, w którym tyle mszy świętych wysłuchał i tyle odprawił spowiedzi za czasów akademickich, potem pobłądził jeszcze wzrokiem po dachach i wieżach, lecz nakoniec zapatrzył się nieruchomie w jakieś drzewo na brzegu wałów stojące i zapadł myślą w owe czasy dalekie swojej nieszczęśliwej młodości w których nie znał jeszcze ni świata ni ludzi, w których rozum jego ulegał jeszcze popędom serca i wyobraźni złudzeniom, marzenia wynosiły go do wysokości Katonów i Brutusów a nadzieje jak by puklerz brylantowy zasłaniały przeciw ówczesnym smutkom, dolegliwościom i drobnym zawodom. Dzisiaj mało co więcej od tego czasu jak lat dziesięć minęło: jeszcze on jest młody latami, czerstwy na siłach fizycznych i powinien dopiero zaczynać to życie trzeźwe i czynne, pewne każdego kroku i pełne niezawodnych nadziei: a on już przeszedł świat cały od końca do końca, wyczerpał zeń pospiesznie po szczypcie ze wszystkich nauk i wszystkich doświadczeń, ludzi poznał i zapoznał, zaostrzył rozum i uwolnił go od wszelkiego poddaństwa, lecz przytem rozczarował się z wszystkich swych złudzeń i nie mając się już czem zasłonić przeciw dzisiejszym swym smutkom i zawodom, stracił wszystkie nadzieje!... Wszystkie, krom jednej; — lecz przejdźmy po kolei ważniejsze momenta tych lat dziesięciu życia tej smutnej, na ołtarzu potrzeb czasowych poświęconej ofiary.

Kiedy młodziutki jeszcze Kamil, pożegnawszy się tak rozpaczliwie z swoją ubóstwioną kochanką, wyjechał z pałacu Edmunda, dowiózł go Szłyk szczęśliwie do Lipska i zaopatrzywszy go tamtejszym paszportem, puścił samego w dalszą podróż do Francyi. W kilka dni potem znalazł on się w Paryżu i pierwszą noc strawił w najokropniejszem rozdarciu pomiędzy krwawym żalem rozpaczającego kochanka i straszną trwogą o przyszłość samotnego i nieznajomego nikomu tułacza. Boleść taka podwójna nie potrzebuje dokładniejszych opisów; jest-to bowiem jeden z najokropniejszych ciosów, jakie mogą dotknąć człowieka na

ziemi, chwila może tak wielka i straszna, że jest w stanie dać nam dokładne wyobrażenie o owym momencie zgonu, kiedy duch nasz już już straci z przed swoich oczu ziemię a jeszcze nie dojrzy tej nieprzejrzanej krainy, w której ma począć swą wieczność. Atoli przy takich cierpieniach niedługo zostawał młody wygnaniec w samotności. Bo chociaż sam był-by może nie prędko potrafił odszukać swych ziomków, z którymi pragnął jak najprędzej się zaznajomić, jednak ciż sami ziomkowie prędko go odszukali i przypuścili natychmiast do jaknajpoufalszej znajomości. Wkrótce też już Kamil znalazł się w towarzystwie ludzi, których próbki już przedtem znał w kraju, lecz o których pomimo to miał tak wielkie wyobrażenie, jakie tylko jest w stanie stworzyć ślepa wiara, połączona z gorącą dwudziestoletniego młodzieńca wyobraźnią. Przypatrzywszy się zbliska tej nielicznej i ubogiej na wszystkiem, lecz krzykliwej i głośnej garstce swych ziomków, dojrzał on wprawdzie niebawem, że te okrzyczane wielkości o wiele mniejszemi są zbliska, niżeli się wydawały zdaleka; ale na tem nie poznał się wcale, że czy-to przez przypadek, czy przez wspólność opinii, wpadł właśnie pomiędzy te grupy swych ziomków, które były najbrudniejszym osadem całego tułactwa. Niedostatek oświaty, brak religii i dobrej wiary, brak pokory i cierpliwości, obałamucenie słabego rozumu, zarozumiałość i pycha, i wyradzające się stąd setki żądz bezbożnych a niepowściągliwych, owóż przymioty, których ten odłamek tułactwa nabył pod ciężarem nieszczęścia i owóż zarazem źródła, z których powyradzały się owe szalone i niedorzeczne zasady, nadzieje i plany, znajome dzisiaj całemu światu a opłacone morzem łez i krwi potokami. Zasady te były Kamilowi już przedtem znajome, nie masz się tedy co dziwić, że znalazłszy je uosobione w ludziach, przylgnął do tych ludzi duszą i sercem i czemprędzej zapisał się jako uczeń u tych mistrzów, których nazwiska były już przedtem dla niego przedmiotem czci i uwielbiania. Wszedłszy z nimi w bliższe styczności, dojrzał on wprawdzie w nich plam nie mało i to plam takich, z których każda wedle praw boskich i ludzkich powinna-by pociągnąć za sobą potępienie człowieka na ziemi, bez nadziei zmycia z siebie tej klątwy za grobem; i to go często raziło i oburzało; ale Kamil był wychowany już w szkole tej, która od tychże samych mistrzów pobierała swoje nauki, a pierwszą zasadą tej szkoły było dla przekonania i zasad przebaczać człowiekowi jego osobiste wady, chociażby temi wadami miały być występki lub zbrodnie. I Kamil poprzebaczał wszystko swym mistrzom, uderzył czołem przed ich zasadami i przyjął je za swoje, a dzieląc z całym zapałem ich wszystkie choćby najniedorzeczniejsze nadzieje, dodał do nich jeszcze i tę jedną ostatnią, iż kiedyś, gdy nabędzie w tem gronie stanowczych wpływów i uda mu się nabyć chociażby chwilową tylko przewagę, to złe, jakie tam jest, ponaprawia i powykorzenia do gruntu.

W takim postawiwszy się do owego towarzystwa stosunku, rzucił on się z gorączkową namiętnością do podziału pracy, trudów, poświęceń i zgoła wszystkiego, co tam czyniono i układano. Jakoż zaraz w kilku pierwszych tygodniach ta jego energija połączona z przyrodzonemi zdolnościami a oparta na najskrupulatniejszej sumienności i prawości w wykonywaniu wszystkiego, co mu poleconem zostało, zjednała mu pewne wyszczególnienie się pomiędzy towarzyszami i zwróciła na niego uwagę. Wypadek ten, dostrzeżony przez niego, podwoił jeszcze jego usilność i energiję — i zdawało mu się, że już bardzo nie wiele potrzeba było na to, ażeby to jego wyszczególnienie się zostało wynagrodzonem jakiemś ważniejszem stanowiskiem w towarzystwie. Ale nadzieja ta jakoś nie ziszczała się jeszcze tak prędko a co gorsza, stosunek jego do towarzystwa zaraz już potem, jak jego energija, gotowość poświęcenia się i zapał szlachetny pozyskały sobie uznanie ogólne, zaczął się krzywić cokolwiek a po kilku tygodniach już dostrzegł nieszczęśliwy młodzieniec, że niektórzy z jego towarzyszów, zamiast wspomagać go swemi własnemi siłami i dzielić jego energiję, poczęli mu zwolna stawiać zapory, mówiąc o jego niedoświadczonej młodości i próbach walnych a koniecznych, które każden członek przejść musi, jeżeli znaczenie swoje chce utrwalić i nabyć jakiejkolwiek w towarzystwie przewagi. Kamilowi się zdawało, że już przeszedł prób i doświadczeń tak wiele, jak mało który z kolegów — i nie rozumiał, o co tu właściwie chodziło, i zwodził walne o tę kwestyę z swojemi towarzyszami spory, — ale niebawem rzecz się stała wyraźniejszą, bo starszyzna towarzystwa, wyniosłszy w pięknej przedmowie jego zdolności, zapał i wszystkie inne serca i umysłu przymioty, powierzyła mu pewną ważną missyę do kraju. Poselstwo to spadło na niego tak niespodzianie, że z razu nie wiedział wcale, co o nim myśleć, — lecz po długim i wielostronnym namyśle, bardzo krzywo spojrzał na swoich kolegów, bardzo nieprzychylnie się usposobił dla ich starszyzny i postanowił missyi nie przyjąć. Nie dopuszczając atoli jeszcze swem sercem, ażeby tak źle było około tego towarzystwa, jak mu to jego zdrowy rozum dyktował, nie odmówił missyi stanowczo, tylko się od niej wymówił. To go jeszcze krzywiej postawiło w stosunku do towarzystwa a z niektórymi towarzyszami nawet skwasiło.

Właśnie wtenczas minęło pół roku od czasu jego przyjazdu do Paryża, — i właśnie wtenczas spostrzegł się Kamil, że jego fundusze wyczerpały się do dna. Te dwa zawody, jeden doświadczony od swoich przyjaciół a drugi doświadczony w kieszeni, otrzeźwiły go cokolwiek z gorącego zapału i sprowadziły nań chwilę chłodniejszego zastanowienia się nad sobą samym. Różne domysły, podejrzenia, zamiary, nadzieje, niepewności, zwątpienia miotały nim przez kilka tygodni,— lecz nakoniec wszystkie inne przeważył wzgląd na chleb powszedni. Kamil wi-

dział, jak żyła największa część jego współ-towarzyszów i wstrząsł się ze zgrozą przed ich żebractwem i samowolną nędzą. Żyć z jałmużny natenczas, kiedy się ma zdolności i siły, zdawało mu się być najnędzniejszym upadkiem, zgniłą, obrzydliwą podłością: postanowił więc od tego się przedewszystkiem ochronić i tak dla chleba, jak dla swej osobistej godności, wyrobić sobie jakiekolwiek stanowisko społeczne. Ażeby jednak przyjść do tego w kraju obcym, potrzeba mu było przejść przez tegoż kraju nauki i do jego wymagań się zastosować. Po postanowieniu zrobionem wybór nie był mu trudnym. W kraju handlowym, przemysłowym, fabrycznym, najprędzej może popłacić znajomośc nauk odnoszących się do tych zawodów: jakoż nie wahał się Kamil długo i rzucił się natychmiast na naukę matematyki, buchhalteryi, finansów. A że tak był usposobiony z natury, że cokolwiek przedsiębrał, temu się zaraz z duszą i ciałem poświęcał, więc i tu tak uczynił. Z początku stała mu cokolwiek na przeszkodzie niedostateczna znajomość języka, brak środków do życia, żal za swobodą i temi widokami na polu przestronniejszem i wyższem, które teraz musiał porzucić: jednak wszystko to przełamała jego silna wola i umiejętność panowania nad sobą. Tak przetrwał on w zapomnieniu, w tęsknotach, w niedostatku a częstokroć o głodzie i w nędzy rok cały; lecz za rok już usposobił się o tyle, że został umieszczony w kantorze jednego ze znaczniejszych domów handlowych, z pensyjką bardzo szczupłą wprawdzie, jednak pokrywającą już jego skromne potrzeby.

Osiągnąwszy to miejsce, sądził on, że teraz swoje wolne od obowiązków godziny będzie mógł znowu poświęcić współpracownictwu swych ziomków wybranych i w towarzystwie znowu się do nich przysunął, i znowu począł zabierać głos swój pomiędzy nimi, ręce swoje i głowę ofiarując do poświęceń i pracy. I przez kilka tygodni był bardzo mile przez nich widziany. Lecz kiedy, zagnieździwszy się między nimi na nowo, po kilka kroć śmiało i wymownie wystąpił przeciwko niektórym ich postępkom, które mu się wydały błędami lub zdrożnościami, i kiedy tym sposobem znowu podniósł się nad nich swoim szlachetniejszym sposobem myślenia, swojem prawdziwszem przywiązaniem do kraju i przez to zagroził im możliwością swojej w towarzystwie przewagi: to znowu został zręcznie odsunięty na stronę i sztucznie pozbawiony tego wpływu, który mu się słusznie należał.

Był to już drugi zawód doznany przez niego od ludzi, w których zasady wierzył jak w ewanielije i których miał za najpotężniejsze filary owej wielkiej, przez całą młodość przez siebie marzonej przyszłości. I znowu go ten zawód krwawo zranił na sercu i znowu nasunął mu mnóstwo podejrzeń i wątpliwości: — lecz jeszcze jego silnej wiary nie zachwiał i nie odebrał nadziei. A jak to zawsze ludzie przywiązani do swojej wiary potrafią łatwiej tysiąc powodów na jej obronę wynaleźć, niżeli jedną wątpliwość przeciwko niej utwierdzić, tak i on wynalazł dostatek argumentów na utrzymanie swej wiary a niepowodzenia swoje pomiędzy towarzyszami przypisując swojej młodości i różnym drobnym okolicznościom, odsunął się jeszcze raz na jakiś czas od towarzystwa, cierpiąc i myśląc o sposobach dalszego swojego postępowania.

Tymczasem, nie umiejąc inaczej pracować jak sumiennie i pilnie, przy wrodzonych i wyćwiczonych zdolnościach, chcąc niechcąc odznaczał się ciągle nad swoich towarzyszó w kantorze—i do dwóch lat zasłużył sobie na takie zaufanie u swego szefa, że ten mu oddał zawiadowstwo jednego wydziału swoich spraw handlowych, wydziału prawie osobną stanowiącego całośc, bo obejmującego jego interesa handlowe na morzu śródziemnem a mającego swój punkt środkowy w Marsylii. Oprócz tego jeszcze szef domu począł mu okazywać coraz jawniej swoje osobiste przywiązanie do niego i kiedy tylko zdarzyła się ku temu sposobność, natrącał mu różne środki, za pomocą których mógł-by próbować szczęścia na własną rękę i korzystne przedsiębrać spekulacye. Kamila pensya była naonczas już tak wysoką, że mu prawie jej połowa od wydatków zbywała, — ale pieniądze nie miały u niego żadnej wartości i wszystko co mu po zaspokojeniu własnych potrzeb pozostawało, rozchodziło się zawsze z rąk jego na wsparcie potrzebnych kolegów. Więc chociaż-by był chciał, to nie mógł żadnych spekulacyi na własną rękę zaczynać, bo kieszeń jego wciąż była próżna.

(D. c. n.)

Do młodego poety, Adama P

Młody mój druhu, polski lutnisto,
Witam cię sercem całem,
Pieśnią twą wodzisz wzniośle a czysto,
Ze łzami a z zapałem,

I jesteś jako niwy podolskie,
Nadzieje dzieci, wdów, matek,
Tak pełny w ziarno, jak żyto polskie,
A skromny, jak bławatek.

Prawie rowieśnik gdy jednak noszę
Skroń doświadczeniem blade,
Pozwól że w twoje wieszcze rozkosze,
Poważne rady kładę:

W proroczym ogniu utoń na zawsze,
Wszystkiego szukaj w swym duchu,
A bądź ze stali na chwile krwawsze,
Złoty — na jasne, — mój druhu!

W życiu i w pieśni nie błądź po światach,
Hamuj się w górnym locie,
Najtrwalsza piękność w pól drobnych kwiatach,
Największa wielkość: w p r o s t o c i e.

„Bo na tym świecie wszystko się miecie,”
W doliny klęsnie góra,

Tylko trwa stale to boskie dziecie,
Wiecznie niezmienna: natura.

Kto ją ukocha, temu rozpowie
Swe cuda z uczuciem szczerem,
A powiernika tego świat zowie:
Szekspirem lub Homerem!

A po te cuda sięgaj głęboko,
Powagę z miłością ożeń,
Niech się twe myśli jak chmiel nie wloką,
Niech jak dąb puszczają korzeń.

Kuglarskie wieszczby których gmin słucha,
Rodzi lot ptaka, obłoków —
Z pieczar to ziemi i z pieczar ducha,
Szły głosy boskich proroków.

Żegnaj więc druhu, żegnaj na schodach,
Kędy zstępują cyklopy,
Tam po krużgankach w twoich pochodach,
Napotkasz ślady mej stopy.

Tam cię ogarną dreszcze przestrachów,
I bole rodzicielki, —
Ale jak Dante wyjdziesz z tych gmachów,
Ponury, blady — i wielki!

A po tych trwogach i po tym bolu,
Gdy wyjdziesz z duszą młodą,
Szybko cię słońce na polskiem polu,
Złotą rozjaśni pogodą.

I jak ja wtenczas siądź sobie skromnie
Pod lipą czarnoleską,
A będzie tobie jak jest koło mnie,
Jasno, spokojnie, niebiesko!

I z kosarzami idź w łąkę na tło,
Idź do chat śniegiem zawianych,
I młodszych braci wywodź na światło,
Wzgardzonych i zapomnianych!

Nigdy nie pragnij sławy od świata,
Świat ten zawistny i płochy,
Ona cię sama jak Cyncynata,
U prostej znajdzie sochy.

U. Jeżeli

w Podlipcach 1854.

SKROMNE NADZIEJE.

Powieść odporna.

(Ciąg dalszy).

Gdy razu jednego Bazylek na opuszczonem siedział stawisku, przyszedł do niego jakiś wędrowny, a uchyliwszy z uszanowaniem kapelusza, zapytał się go o drogę do Lwowa. Bazylek zrazu nic mu nie odpowiedział, a to dla tego, że albo na tak mądrą odpowiedź nie mógł się zdobyć tak prędko, albo zdziwił go ukłon uprzejmy podróżnego, który po raz pierwszy w życiu odebrał, albo że wprzódy chciał zbadać należycie figurę pytającego, aby do niej odpowiedź zastósować.

Dobre myśli przychodzą zazwyczaj najpóźniej, to też ostatnia z tych myśli będzie zapewne najlepsza. Pójdziemy i my za nią, i obejrzemy podróżnego.

Była to cienka figurka w kusym surduciku, z kapeluszem na głowie niepospolicie przetartym. Na plecach niósł mały mantelzaczek, z pod którego wyglądały para podartych butów. W ręku trzymał parasol i kij sękaty. Był nader grzecznego ułożenia, a kłaniając się Bazylkowi wychodził z zasady:

Mit dem Hute in der Hand,
kommt man durch das ganze Land.

Tak też i Bazylek sobie myślał, bo się mile do niego uśmiechał i ręką na prawo machnął. Ten gest atoli nie zadowolił podróżnego, który jak widać, nie pragnął informacyi, lecz rozmowy towarzyskiej. Ale trudna była z Bazylkiem rada. Podróżny mówił jakimsiś innym od niego akcentem, a gdyby Bazyl był uczonym, poznałby, że to była mowa słowiańska, pobratymcza. Wprawdzie idący od Krakowa wzdłuż podgórskiej ziemi podróżny (darujcie, że go powieściarz prowadzi przez Złoczowskie, wszak i Szekspir do Czech morzem płynął) — przełamał nieco rodowy swój akcent, mimo to poskrobał się nie raz Bazylek w głowę, nie mogąc go dostatecznie zrozumieć. Jednak zrozumiał zawsze tyle, ile mu potrzeba było, aby się dowiedzieć, że pieczony gołąbek w samo gardło mu leci! Dyalog ten atoli, przez wzgląd na ćmę naszych gramatykarzów, którzy się krzywią na to, gdy się język kaleczy, będziemy się starać oddać jaką taką polszczyzną.

— Jakże się zwiesz synu natury, i jakie wrażenie czyni na ciebie to wysuszone stawisko — zapytał się podróżny.

— Nazywają mnie durnym Bazylkiem.

— Społeczeństwo wyrządza ci krzywdę — ale nie trzeba się temu sprzeciwiać. Bazyl znaczy z grecka: króleski, a któż ci zaprzeczyć może, że nie dojdziesz do jakiego zaszczytu, co cię nad motłoch wyniesie. Papież Syxtus był także pastuchem.

— Ależ dobrodzieju, na to potrzeba mądrości, a nieboszczyk jegomość mówił mi zawsze, żem durny aż miło!

— Mądrości ci wielkiej nie potrzeba, ale pewnego przemysłu, aby się do tego zastósować, gdzie cię społeczność położy.

— Ach złoty panie, wszak ja w popiele leżał od dzieciaka, a jeźli dzisiaj za nieboszczykiem płaczę, to tylko dla tego, że już w popiele leżyć nie mogę.

— Cyt, widzę, że dojdziesz daleko, bo nie pragniesz na raz zbyt wiele, a kontentujesz się obecnością.— A ponieważ duch twój samodzielnie działać nie może, więc potrzebujesz przedewszystkiem postarać się o pana, od którego wszystko cierpliwie znosić musisz, złe i dobre.

— Ach dobrodzieju, wszak ja od dzieciaka brał u jegomości szturkańce i batogi, a jeśli dzisiaj za nieboszczykiem płaczę, to tylko dla tego, że szturkańców odbierać nie mogę.

— Zmysł mój psychologiczny nie zawiódł mnie — rzekł do siebie podróżny, chłopca tego muszę wziąć do siebie i na ludzi go wyprowadzić.

— Słuchaj chłopcze — przemówił głośno, widzę w tobie zaród przyszłej potęgi społecznej, a jeśli rad moich usłuchasz, wprowadzę na drogę twego dobrego przeznaczenia. Pójdziesz do mnie w służbę, i będziesz odtąd do mnie należał.

Tu stanął mówiący, czekając wrażenia, jakie na chłopcu sprawić mogła jego propozycya; gdy jednakże ono w skutek ograniczonej głowy chłopięcia leniwo się rozwijało, podróżny wzniósł do góry swój kij sękaty i mistrzowską ręką wykonał kilka cięć zamaszystych. Zaświerzbiała długo nie bita skóra Bazylka, i z niewypowiedzianą rozkoszą przysłuchiwał się poświstowi tak mistrzowskiego zamachu. Obudziły się wszystkie jego, jakie tylko gdzie miał, władze umysłowe, a ideał jego marzeń stanął mu przed oczy.

— Ach będę służyć u dobropzieja — zawołał pożerając oczami kij sękaty, który jeszcze był nie znalazł swojej równowagi, będę służyć, bo też rozkosznie bić musisz.

— Ale najprzód ci powiem, jakim być musisz. Wszystko masz czynić co ci rozkażę i tak jak ci rozkażę, chociażbyś nawet czasem myślał, że inaczej byłoby lepiej. Rozkazującemu nie idzie o to, aby w skutek jego rozkazu zrobiło się dobrze, ale o to, aby rozkaz jego był wypełniony. W obec pana nie możesz mieć własnego zdania, i nie śmiesz go wyjawić, chociażby w formie najdelikatniejszej. Na każde głupstwo moje musisz wykrzyknąć „co za rozum, co za myśl genialna!“ bo ja tak samo starszym odemnie mówię. A jeśli kto coś na mnie wypowie, chociażby to było najprawdziwsze i najdowcipniejsze, mówiąc ze mną o tém, nazwiesz je głupiem, niedorzecznem i kłamstwem wierutnem. Nie lękaj się, abym ci się w nos nie roześmiał za twoje podchlebstwo, bo co człowiek zazwyczaj od drugiego równego sobie słyszeć lubi, tego pan po słudze koniecznie wymaga. Gdy ja się upiję, powiesz żem trzeźwiuteńki jak ryba. Rozumiesz?

— Ach dobrodzieju, toć to nieboszczyk mój pan, nie był wcale tak bardzo dobrym panem, bo i ludzie tak coś sobie gadali, a ja przecież nazywałem go zawsze złotym dobrodziejem. A bywało, gdym zamiatał a on mnie się czasem zapytał, co tam w piekarni ludzie o nim mówią, tom zawsze nagadał mu tyle, że był i ze mnie i ze wszystkich kontent.

— Masz rozum praktyczny, chociaż jeszcze nie przyszedłeś do jego świadomości, a więcej kierujesz się instynktem. Ale instynkt jest to przecież najlepsze, co człowiekowi dostało się w udziale, bo skoro po grzechu pierworodnym nasz rozum pobladł i wola się zachwiała, to tylko on jedyny pozostał w naszej naturze, który nam, jak igła magnesowa oznacza kierunek, dokąd iść a czego się chronić mamy.

Bazylek wytrzeszczył swe kocie oczy na mówiącego, bo go teraz wiele nie rozumiał. Ale mówiącemu nie chodziło o to, aby go Bazylek rozumiał, ale czuł on potrzebę wygadania się i wypróbowania swoich systematów, dopiero co z zagranicznej wszechnicy wyniesionych. Więc rozumował i filozofował bez względu na słuchającego, a w tem naśladował tylko swoich profesorów, co nie raz z katedry mówili o rzeczach niestworzonych, chociaż logiką ściśle wyrozumowanych.

— Toć ja już sługa dobrodzieja, krzyknął pastuch, i w dowód swojej radości, tak po mistrzowsku trzasnął batogiem, że się aż podróżnemu coś po głowie dostało.

— W każdem szczęściu musisz być umiarkowanym, mówił dalej filozof, pocierając ucho, bo to tylko może ci zapewnić dobre powodzenie. Żaden pan nie lubi zbytniego zadowolenia swego sługi; gdy koń za nadto bryka, to mu ujmują obroku; miej zawsze głowę zwieszoną, skarz się czasem na ciężką służbę, ale rób swoje, rób dwa razy tyle, jak jest twoim obowiązkiem.

— Taż ja tak zawsze dotąd czynił, kochany dobrodzieju, a widać, że mnie za to Bóg wynagrodził.

— I jeszcze ci lepiej będzie między ludźmi, tylko przedewszystkiem strzeż się dumy, i nieżądaj nigdy od razu za wiele. Widziałeś zapewnie, jak w twojej wsi rodzinnej stawiali nowy komin w plebanii.

— O jakżem widzieć nie miał, kiedy trzy razy na dzień dostawałem batogi, raz od ekonoma, raz od organisty, a raz od mularza, któremu nie tak prędko cegły podawałem.

— Otóż widziałeś z jak małych cegiełek powstała ta budowa. Z początku nie było jej z ziemi widać, tak jak ciebie na powierzchni społeczeństwa jeszcze nie widać; — potem nie była większa jak piec w piekarni —tak jak ty niebędziesz większym na służbie u mnie — w końcu rosła i rosła, aż wreszcie przebiła dach i wystawiła głowę wyżej, niżeli lipa na dziedzińcu. Tak i ty wzniesiesz niegdyś twoję głowę po nad poziomość społeczeństwa ludzkiego, i wzbijesz się w krainę, w której tylko orzeł, ptak królewski, za swoim łupem się ugania. O że tam dolecisz, rękojmią jest ci twoje imię. Nie darmo nazwano cię w pieluchach owem znamieniem, którego dotąd odczytać nie mogła twoja społeczność, bo były dla niej hieroglifem na świątyniach Tentyry.

— Złoty dobrodzieju, tak pięknie mówicie, jak nigdy jegomość nie mówił.

— Ale powtarzam cię wysoki komin plebanii składa się z cegiełek. Ot weź przykład ze mnie. Widzisz jestem biedny, idę piechotą, mam tylko dwa surduty i dwie pary butów, a gdy cię biorę na służbę, to ta służba będzie dosyć uboga. Obaczysz jak powoli będę róść, przyjdę do płaszcza i futra, zostanę przełożonym z razu nad kilkoma ludźmi, później na kilkadziesiąt, wkońcu na kilkaset i tak dalej. Dzisiaj idę z kijem w ręku, za rok twoja wieś musi mnie dać fury a za trzy lata przyjadę tutaj własną bryczką i trzema końmi, a gdy mnie się podoba, i każę komukolwiek z gromady wygarbować skórę, bo będę jej sędzią.

— O złoty dobrodzieju, toć w tedy każesz najsamprzód odliczyć organiście dwadzieścia batogów za mnie, a ja będę sam go na ławie trzymał!

— Zemsta?.. no, ona nieprzeszkodzi ci w twojej karyerze, tylko trzeba być nader ostrożnym. Pszczoła przez zemstę umiera. Możesz się mścić, ale w ten sposób, aby zemsta ukaranego ciebie na odwet dosięgnąć nie mogła, to jest mścić się tylko na daleko niższym od ciebie. Równemu i wyższemu wszystko daruj, chociażby cię bił po twarzy. —

Tutaj usiadł podróżny, rozpakował swój tłumaczek, a wziąwszy na siebie surdut lepszy, dał ten, co miał na sobie, Bazylkowi. To samo zrobił z butami, kapelusz jednak słomiany zostawił mu jako jedyną jego stanu pamiątkę.

(D. c. n.)

O przedruku Słownika Lindego.

(Ciąg dalszy).

Takie rzeczy nie odkrywają się od razu, od jednego spojrzenia, jak błąd gramatyczny, błąd pisowni; takie rzeczy odkryć mogą tylko ludzie który ciągle mają do czynienia ze Słownikiem. Raz jeden i drugi i trzeci dobrze; czwarty, dziesiąty raz szukając, znajdzie się myłka, niedokładność. Lat trzeba czekać za nim w dziele które oparte jest na cytacyach, postrzeże się coś podobnego, — tem większych lat trzeba dla Słownika, bo w Słowniku nie wszyscy szukają, dzieło historyczne np. daleko przystępniejsze dla ogółu. U nas szanowny spół-autor Starożytnej Polski p. Tymoteusz Lipiński trafiwszy raz na ślad, ciągle szperał w Słowniku i zebrał spory zasób spostrzeżeń w tym względzie, które o ile wiemy odesłał wydawcom do Lwowa. Praca Lipińskiego byłaby wielkiej wartości dla powtórnego wydania Lindego, gdyby sam autor Starożytnej Polski mógł zaręczyć, że jest całkowitą. Nie wątpim że wydawcy zastosują się do uwag p. Lipińskiego i tekst Słownika tu i owdzie poprawią, ale czyż to już wszystko? Czy nie słusznie możem wnieść tutaj żądanie dla dobra nauki, żeby wydawcy zrobili to czego nie zrobił Linde i pilnie wprzód wszystkie cytacye Lindego sprawdzili? Dać coś, to dać bez błędu, na czysto, nie ze staremi wadami, jak ze staremi łatami w surducie. A to z nowu robota czy jednej chwil Samo zrewidowanie Słownika kosztowałoby dużo czasu. Pośpiech cóż nam da? Stare łaty w surducie.

Teraz drugą okoliczność.

Linde zbierał swoje materyały z dzieł drukowanych, z pewnych epok, więc powinien był chociaż wyczerpać to co wybierał. A miły Boże! ileż tu znowu w Słowniku niedokładności? ile nam się to razy zdarzyło czytać w artykułach, w dziełach teraz wydawanych, że tego a tego wyrazu nie ma w Lindem? Ileż to już objaśnień z tego powodu porozrzucanych po pismach peryodycznych? Wspomnimy dwa fakta. Kiedyś w czasopiśmie księgozbioru Ossolińskich drukowane całe artykuły spisujące bogactwa których w Lindem nie ma. Ale i te spisy już nie z przypadku pochodzące, nie jak oderwana uwaga, oderwany fakt zanotowane, owszem niby systematyczne, były jeszcze więcej dziełem przypadku.

Z pewnym zamiarem, z samowiedzą już, prawdziwie systematycznie, bo nawet trochę po pedancku wziął się do przejrzenia opuszczeń Lindego, uczony nie z przypadku jak redaktorowie czasopismu, bo kształcił się w uniwersytetach niemieckich, profesor i później rektor uniwersytetu krakowskiego Józef Kajetan Trojański. Trojański chciał o ile się zdaje przejrzeć tak całego Lindego, i dla tego dosyć wcześnie zaczął, bo wtedy miał jeszcze lat kilkanaście życia przed sobą i byłby mógł dokonać całego przedsięwzięcia.

Nie wiemy co mu potem przeszkodziło w pięknym zamiarze: brak czasu czy inne zatrudnienia. Przeglądając jednak systematycznie Lindego i notując swoje nad jego pracą uwagi, byłby się więcej dla literatury i języka przysłużył, nad spisywanie gramatyk łacińskich ze wzorów niemieckich z niemieckiem pedanctwem do naszej potrzeby nie zastósowanych. Trojański zdążył więc część tylko przeglądu swojego wygotować, to jest przejrzał tylko pierwsze głoski abecadła. Rozprawę swoją drukował w Kwartalniku krakowskim w r. 1835. (tom 1.) Trojański był klasykiem czystej wody, całe życie strawił na łacinie i na czytaniu autorów i poetów starożytnych, literaturę rzymską też wykładał w uniwersytecie. Nie mógł się więc zdobyć na pogląd śmielszy, swój własny, oryginalny, tak w gramatyce jak w literaturze, tak w Słowniku jak w gramatyce. Ztąd w duchu zupełnie Lindego notował swoje spostrzeżenia.

Żył już i drukował rozprawę swoją w czasach dokonanej reformy literackiej, czego więc Linde nie widział, to widział, to mógł ręką namacać Trojański, przecież nie namacał, nie zniżył się do prowincyonalizmów, do rękopismów, do autorów nowej epoki, ale ze starej dosnuwał nić przez Lindego niedosnutą. Ztąd dopełnienia jego są zupełnie klasyczne, są robione jakby przed rokiem 1815., wyglądają jakby spółczesne samemu słownikowi języka polskiego. A jednak zebrała się spora broszura uwag różnorodnych i opuszczeń Lindego, nawet w języku książkowym jaki był w roku 1815. Czegóż to dowodzi? Że Linde nie wypełnia nawet swojego obrazu, że Linde nawet w swoim systemacie ma znaczne opuszczenia. Gdyby Trojański skończył swoje uwagi nad Lindem, biorąc miarę z tych trzech głosek alfabetu, sporąby księgę zostawił. Jakże tedy potrzeba pod tym względem uzupełniać nasz jedyny Słownik, który posiadamy? Jakże teraz, po tylu latach doświadczeń i pracy pozwolić by wyszedł na świat tak z opuszczeniami, które nawet klasycy nasi zauważali?

Trzeba więc poprawiać tekst, trzeba mieścić do niego te nastręczające się ztąd i z owąd dopełnienia. Niech wszystko w całość jedną się zleje. Całości tej zostawmy tytuł historyczny utarty już: *Słownik Lindego.* To prawo słusznie się zmarłemu autorowi przynależy. Niedosyć że on u nas jedyny, ale i pierwszy; niedosyć, że zrobił przysługę wielką literaturze, ale i znał doskonale nasz język. Zazdrośnikom i niby wielkim bohatyrom prawdy, którzy na Lindego powstawali dowodząc że nie on pisał swój Słownik, odpowiedzmy faktem, który rusztowanie ich wniosków i usiłowań obali. Są ludzie którzy lubią ubliżać każdej zasłudze i radzi szukają wszędzie punktów światła ujemnych. Niech się pożerają złością swoją w milczeniu.

Wiemy, że Linde nie mógł sam pracować nad swoim Słownikiem; wiemy, że to nie jednego człowieka rzecz była przeczytać ten ogrom dzieł jaki Linde zacytował w swoim Słowniku; wiemy, że wielu mu pomagało w pracy, ale cóż to uwłacza zasługom ojca naszego Słownictwa? Materyały być mogą, ale budowniczy, artysta, uczony z nich buduje, same się nie złożą. Kto z nas książkę jaką

napisał bez porady przynajmniej, jeżeli nie bez pomocy innych? Tak i Linde w wielkiem przedsięwzięciu mógł tu i owdzie zasięgać porady, wyglądać pomocy, ale Słownik jezyka polskiego i w pomyśle i w wykonaniu jest świętą jego własnością. Porządek, ład wewnętrzny, całe gospodarstwo że się tak wyrazim, systemat jest Lindego. Ztąd też peryodycznie ponawiane napaści na zmarłego autora, z zaciętością w ostatnich czasach wznawiane w Przeglądzie naukowym a od których w Bibliotece Warszawskiej bronił Lindego Papłoński, nie obaliły powagi autora Słownika i dzisiaj już mają przeciw sobie przyznanie pół wieku. (C. d. n.)

Teatr krakowski.

(Ciąg dalszy)

Królikowski Karol, młodszy brat Jana, zastępujący dyrektora chorobą złożonego, okazał nam się nader korzystnie w rolach effektowych i najgłówniejszych. Belfegor (w Bajacie,) Burgrabia (w Granowskim), Rolla Snycerz (w: *Arcydzieło nieznane*,) pochłaniają całe zajęcie sztuki, a przy wyższości gry artysty nad drugimi, role te wystawały samotnie, odróżniające, przeprowadzone, pojęte i wykonane z artystycznem wypracowaniem. W roli uczuciowej kochanka Józefa (*w Deborah*) jak i w oddaniu porywczego charakteru vice-hrabiego de Chatenay (w: *Uściskajmy się*), chociaż nie tak wdzięcznych jak trzy powyższe, pozyskał szczere i zasłużone oklaski. Publiczność nasza, która (jak pamiętamy) bywała za czasów Chełchowskiego zawsze niemal zimna i obojętna i nie często zaszczycała oznakami współczucia świetnych usiłowań i pracowitej gry takich artystów, jakiemi są np. Linkowscy, dziś każdy występ Królikowskiego, przyjmuje z jawnem uznaniem niezwykłych zdolności jego, wywołując go częstokroć po każdym akcie. Artysta ten, godzien jest względów wyszczególniających, każdą bowiem rolę umie przedstawić, w każdej znać, z jakiem oddaje ją zamiłowaniem. Organ głosu jego zdolny jest do oddawania effektownie wszelkich odcieni namiętności, czternastoletnia wprawa sceniczna rozwinęła w nim lekkość i swobodę ułożenia, świadczące o talencie, który jest pewny siebie, i nie lękający się najtrudniejszemu podołać zadaniu. Trzech jemu podobnych artystów więcej, potrafiłoby postawić dramat w Krakowie na pożądanej stopie. Pochwały o nim pisane do gazet warszawskich z Lublina przez Krasińskiego Adama i innych, nie były przesadzone. Królikowski jest synem Józefa Franciszka, znakomitego autora dzieł wielu, dotyczących prozodyi i języka polskiego, zmarłego roku 1839.

Ładnowskiego Aleksandra talent do niższej komiki oddawna jest znany; w rolach żydów, nie dorównywa mu i Panczykowski, a w innych, umie właściwą komika rozweselać, dla tego widziano go z przyjemnością w roli handlarza Krzysztofa, (*w Dwaj Mężowie*,) arendarza (*w Chłopach*,) a lubo nie przystoją mu poważne charaktery i tylko przybiera je z potrzeby, jednak i tu nie zepsuł postaci Lorenza wójta gminy (w Deborah) i wyższej komiki postaci Margrabiego-ojca (w Uściskajmy się) i wielce jest pożyteczny dla sceny krakowskiej.

W grze *Ant. Janowskiego* widać znaczny postęp od lat poprzednich i pewne role udają mu się korzystnie. Życzyćby należało sobie, aby pozbył się jednostajności w tonie deklamacyjnym, pewnej pieściwości w wygłaszaniu, owego cedzenia słów słodkobrzmiących, a energią i żywość ruchów skojarzył z energią i żywością tonu mowy, z akcentem bystrym, hartownym, męzkim, nie wymuszonym. Jego role: Kawaler de Tolleville (*w Uściskajmy się*) Książę Montbazon (*w Bajazzo*,) Marcin parobczak, (*w Chłopach*,) Feliks Dalszycki (*w Okrężnem*,) oddane były swobodnie, z widoczną starannością i umiane były dokładnie. Rola Rubena (*w Deborah*) mało znacząca, a Michała Anioła starca (*w Arcydzieło.*) nie była dlań stósowną, dla tego powieść się nie mogła.

Sulikowski i Ficzkowski są to artyści mierniejsi, a jednak drugi, trafia niekiedy, lecz bardzo rzadko, na rolę popisową, jak np. Szczepanka żołnierza (*w Chłopach*,) która to rola, chociaż doskonale upostaciowaną bywała przez Linkowskiego, nie utraciła nic prawie, w nieco przesadnej grze Ficzkowskiego.

Sulikowski trafił także na przedmiot swój w sztuce: *Dwaj mężowie*, gdzie grając zazdrosnego pana Anzelma, wywiązał się jak najszczęśliwiej, z zadania. Role charakterów czarnych: Kawaler Rollák (*w Bajazzo*,) Margrabia Appiani (*w Arcydzieło*,) były za trudne i za rozległe, a artysta grzesząc monotonią rozwleczonej deklamacyi, usiłował napróżno wydać się korzystnie; nieco lepiej odznamionował typ spokojnego Plebana (*Deborah*).

Panna *Kotowska*, jest miłą, zręczną, ujmującą i lubioną artystką, widywaną z upodobaniem w öwczas, gdy znać, że chciała rolę swą pojąć i jej się wyuczyć. Bardzo trafnie przeprowadziła rolę Berty kochanki (*Uściskajmy się*) porywczej, gniewliwej, tłukącej wszystko w napadzie rozjątrzenia; niemniej biegle przedstawiła Ludwikę (*w Podstęp pana Kapitana*,) ale znów z zupełnem zaniedbaniem odrecytowała rolę Eleonory (*w Arcydzieło.*) Tam, gdzie należało być tkliwą, serdeczną, uczuciową, rozpaczającą, widzieliśmy jakby umyślnie źle udawany smutek, niechętnie cedzone słówka, tak rażące w obec artystycznej gry Królikowskiego. Mamy wyobrażenie o zdolnościach artystki, że mogłaby grać lepiej, skoro w innych rolach trudniejszych wychodziła zwycięzko. (D. n.)

Rozmaitość.

* W chwili kiedy Tatar rozgłosił wiadomość o wzięciu Sebastopola, zamożny jeden obywatel, mieszkający w Warszawie, otrzymał list z nadgranicznego miasteczka S.... z Galicyi, w którym mu pisano o spaleniu Odessy i o wzięciu Sebastopola. Właśnie było podtenczas kilka osób u niego w salonie, którym ten list dał do przeczytania. A choć nie spodziewał się, aby przyjaciele jego tę wiadomość roznieśli, bo wyraźnie ich o milczenie prosił, jednakowoż stało się inaczej. W kilka godzin cała Warszawa mówiła głośno o spaleniu Odessy i o wzięciu Sebastopola. Doniesiono o tem księciu Paszkiewiczowi. Książę natychmiast przywołać kazał owego obywatela do siebie. A skąd to hrabia masz takie wiadomości? Zapytany wyjął list pisany z Galicyi i ukazał księciu.— «Ależ to wszystko jest nieprawdą! «—Wierzę bardzo, a ja kilku przyjaciołom w poufnem kółku jedynie udzieliłem tej fałszywie mi doniesionej wiadomości. Wcale nie życzyłem sobie, a nawet zastrzegłem aby tego nie rozgłaszano.»— «Rząd ma zupełne zaufanie w panu, dałeś pan tylekroć swojej lojalności dowody, iż wcale za to karać ciebie nie myślemy. Ale życzeniem mojem jest abyś przejechał się do Odessy i Sebastopola i przekonał się, iż twoje wiadomości są zupełnie fałszywe.»—«Jak Jego książęca Mość rozkaże.»—«Proszę do mego sekretarza on ci da dalszą informacyą.»

Nasz hrabia skłonił się i udał się do sekretarza który mu doręczył gotowy już paszport. Zaledwie wrócił do domu, już wpada feldjegier z oznajmieniem, iż kareta i konie pocztowe czekają. A podczas gdy cała Europa szalała ciesząc się wzięciem Sebastopola, nasz hrabia ruszył pocztą kurierską, czterma dzielnemi końmi, w podróż przymusową, dla przekonania się, czy Tatar prawdę powiedział.

Zatrzymać nigdzie się w drodze nie mógł. W Odessie zawieziono go przed pałac gubernatora, który go bardzo grzecznie przyjął, wszędzie oprowadził, i natychmiast w dalszą do Sebastopola wyprawił drogę. I tam również grzecznie przez Mężykowa przyjęty i wszędzie oprowadzony wracać musiał bez chwili wytchnienia napowrót kuryerską pocztą do Warszawy, gdzie go wprost przed księcia Paszkiewicza stawiono. «A co zapytał książę, czy stoi Odessa i Sebastopol?» «Ach mości książę, stoją obadwa miasta i to w takim stanie, iż nigdy zdobyte być nie mogą» odpowiedział hrabia, znużony śmiertelnie podróżą kilkunasto-dniową bez chwili odpoczynku. «Idź-

że hrabio do domu, zbierz twoich poufnych przyjaciół, i opowiedz im to pod sekretem, aby dziś jeszcze cała Warszawa o tem wiedziała.“

Zaledwie hrabia stanął w swoim pałacu wpadł ten sam feldjegier który go woził i przedłożył mu rachunek podróży.

Siedmtysięcy kilkaset rubli zapłacić musiał za przyjemność, przekonania się o fałszu doniesionej mu wiadomości.

Odtąd w Warszawie nikt i najzaufańszym przyjaciołom nie rozgłasza wiadomości z teatru wojny, choćby i z gazet rządowych zaczerpniętych.

* **Depesza telegraficzna z teatru wojny.** Rossyanie spuścili wszystką wodę z Czarnego morza. Flotta sprzymierzonych osiadła na skałach i piasku dna morskiego.

Przyjechali od dnia 29. do 30. Listopada do Lwowa.

PP. Tenczarowicz Jan, z Brzeżan. Ciemirski Tomasz, z Klicka. Łodyński Hieronim, ze Zaleszczyk. Dolański Józef, z Tarnopola. Wiktor Jakób, z Żółkwi. Kuczyński Leon, z Lubowa. Obertyński Leopold, ze Stronibab. Bobecki Kajetan, z Byszowa.

PP. Wereszczyński Nikodem, z Brzeżan. Manasterski Józef, z Błazowa. Orzechowski Jan, z Brzeżan. Ochocki Józef, z Tarnopola. Ochocki Kalikst, ze Zaleszczyk. Siemiński Konstanty, hr. z Przemyśla. Jaworki Józef, z Czortkowa. Ośmiałowski Szymon, z Janczyna. Batowski Aleksander, z Kulikowa. Strzelecki Eugieni, z Wyrowa.

Wyjechali od dnia 29. do 30. listopada ze Lwowa:

PP. Romaszkan Zygmunt, do Stryja. Wiszniewski Wiktor, do Strzelisk. Lipiński Antoni, do Brzeżan, Czernecki Jan, do Brodów.

PP. Onyszkiewicz Rudolf, do Stryja. Cielecki Ludwik, do Łoziny. Jaroszyński Nereusz, do Małowód. Majerski Stanisław, do Brzeżan. Peplowski Ludwik, do Sambora. Baraniecki Feliks, do Przemyśla. Gottlieb Feliks, do Dołhomościsk. Łopuszański Bólesław, do Czyszek.

Kurs telegrafowany z Wiednia 1 b. m. o g. 2. po połud.

Amsterdam	$105\frac{1}{2}$	Medyolan za 300 lirów .	$124\frac{3}{4}$
Augsburg za 100 złr. .	$127\frac{3}{4}$	Paryż za 300 franków .	$148\frac{1}{4}$
Bukareszt	—	Agio dnk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$126\frac{3}{4}$	Srebra agio	—
		Pożyczka 5% $82\frac{9}{16}$ $4\frac{1}{2}$	—
Genua.	—	Pożyczka lit. B. . . .	—
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{1}{2}$	Akcye banku	1235
Konstantynopol	—	Kolej północna	1805
Liwurno	—	Obl. ind.	$74\frac{1}{2}$
Londyn za 1 funt szterl.,	12 17	Nowa pożyczka z loteryą	$97\frac{1}{8}$
Marsylia	$148\frac{1}{4}$	Pożyczka narodowa . .	$85\frac{3}{4}$

Wczorajszy Kurs Lwowski Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	51	złr.	5	kr.	55
Dukat cesarski	„	5	„	57	„	5	„	59
Półimperyał zł. rosyjski	„	10	„	5	„	10	„	9
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	57	„	1	„	58
Talar pruski	„	1	„	53	„	1	„	56
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	25	„	1	„	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	„	86	„	20	„	86	„	40

Obligacye, indemnizacyjne 74. 10. do 74 złr. 30 kr.

Lwów 27. Listopada. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 30 złr. — kr. do — złr. — kr. — Żyta po 24 złr. 30 kr. do — złr. — kr. Jęczmienia po 22 złr. 5 kr. do — złr. — kr. Owsa po 18 złr. 30 kr. do 19 złr. 45 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 10 złr. — do 12 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 32 złr. 30 kr. do 35 złr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. — kr. w.w. Cetnar siana 2 złr. 30 kr. do 2 złr. 55. kr. Centnar słomy 1 złr. 40 kr. do 2 złr. — kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 5 Złr 10 kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**